

**Idź
własną
drogą**

Idź własną drogą

MAREK KAMIŃSKI

W ROZMOWIE Z JOANNĄ PODSADECKĄ

© Wydawnictwo WAM, 2017

© Joanna Podsadecka, 2017

© Marek Z. Kamiński, 2017

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek

Korekta: Mateusz Czarnecki, Dariusz Godoś

Projekt okładki: Katarzyna Ewa Legendź

Fot. na okładce: Renata Dąbrowska/Agencja Gazeta

Fot. w książce: archiwum Fundacji Marka Kamińskiego

Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

Autor map: Wawrzyniec Świącicki

Koordinacja prac: Paula Kuncewicz

ISBN 978-83-277-0706-2

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

e.wydawnictwowam.pl

Druk: GRAFARTI • Łódź

Spis treści

1.	Na końcu świata nauczyłem się pokory	7
2.	Intuicja – duchowe DNA	37
3.	Twarz Europy to pędzące autostradą towary	69
4.	„Drzwi więzienia w Braniewie są dla pana zawsze otwarte”	109
5.	Logika serca	129
6.	Akceptacja, uważność, wdzięczność	177
7.	Wartości cię nigdy nie zdradzą	217

Na końcu świata | 1
uczyłem się
pokory

Jadąc do ciebie, czytałam „Technikę uwalniania” Davida R. Hawkinsa. To książka o uwalnianiu się od oczekiwań otoczenia, własnych lęków, o przepracowywaniu trudnych doświadczeń. Zastanawiałam się, od czego człowiek taki jak ty – mający trochę sukcesów na koncie – chciałby się uwolnić, o czym już wie, że go nie buduje, ale tłamsi?

9

Zaskoczę cię: mam wszystkie książki Hawkinsa, które przetłumaczono na polski. To naukowiec słabo u nas znany, a szkoda.

Rozumiem, że pytając, od czego chciałbym się uwolnić, próbujesz mnie namówić na zabawę intelektualną. Proszę bardzo. Gdybym miał taką możliwość – chciałbym się zresetować do stanu zerowego, stać się z powrotem dzieckiem. To tęsknota, by uwolnić się od formy i zacząć od nowa. Wcale nie dlatego, że coś mnie boli czy tłamsi. Sukcesy są takie same jak porażki – jedne i drugie mogą przygniatać. Od nas zależy, co z nimi zrobimy. Zmierzam do tego, że i sukcesy, i porażki tworzą jakąś formę. Kiedy już coś zostało zbudowane, to trzeba to w jakimś kierunku rozbudować. Trudno

nagle zdecydować, że będzie się to kontynuowało przy pomocy elementów, których się do tej pory nie używało, nie znało. Dlatego rozpoczęcie od zera jest takie trudne i... takie kuszące. Mógłbym zostać na przykład malarzem czy reżyserem. Po prostu układać zupełnie inną układankę.

Jest coś pociągającego w obmyśleniu swojego życiorysu prawdopodobnego.

Tak. Ale doskonale wiem, że bywa ono ucieczką od życia, w którym brakuje nam odwagi na zmiany, na wprowadzenie korekt. Nie oszukujmy się, że wyjazd na koniec świata pozwoli nam uciec od problemów, z którymi nie radzimy sobie tutaj. One będą tam na nas czekać do czasu, aż nie zrozumiemy, czego mają nas nauczyć. Nie musimy co chwila robić radykalnych wolt, ale by żyć pełnią życia, z całą pewnością należy wykonać wysiłek związany z uświadomieniem sobie, co na nas działa destrukcyjnie. Kiedy ponazywamy istniejące w nas programy, będziemy mogli się od nich uwolnić. Na przykład przepracowanie traum w dużym stopniu polega na uzmysłowieniu sobie, że one istnieją. Już samo to prowadzi do uzdrowienia.

Pewnie był taki moment, gdy poczułeś, że spełniają się twoje marzenia, że być może dostajesz więcej, niż sobie wyobrażałeś. Czy sława demoralizuje?

Nie zawsze. Ważne, by się zastanowić, co chcemy z nią zrobić. Dla mnie, mimo wszystko, ona od początku była bardziej pozytywna niż negatywna. Pozwoliła mi założyć fundację. Pułapki pojawiają się wtedy, gdy się do sławy przywiązujemy. Kiedy za wszelką cenę chcielibyśmy utrzymać wysoki poziom zainteresowania naszą osobą. Gdy marzymy, by światła reflektorów nigdy nie gasły.

11

Na jakie pułapki są narażeni ludzie sukcesu?

Pamiętasz kontynuację „Wodzireja” z Jerzym Stuhrem? Otóż w „Bohaterze roku” Feliksa Falka postać grana przez Stuhra robi program objazdowy po całej Polsce z człowiekiem, który uratował kogoś z pożaru. Zbigniew Tataj (tak się nazywa ta postać) na różnych stacjach wyskakuje z ognia, udaje, że go gasi. Dla mnie to kwintesencja przywiązania się do sławy. Coś się stało naprawdę, a potem starasz się to powielić. Gdy żyjesz jedynie tym, co zdarzyło się w przeszłości, twoje życie zamienia się w groteskę.

Pewnie masz znajomych, którym ego bardzo urosło, gdy odnieśli sukces, i tracą kontakt z rzeczywistością. Jak ty się przed tym broniłeś?

12

Wchodziłem w nowe projekty. Znajdowałem nową drogę. Żyłem terazniejszością. Przywiązanie do sławy to życie przeszłością. Skoro kiedyś zdobyłem bieguny, to teraz będę o tym ciągle mówił, celebrował to. Na biegunie nie można zamieszkać. Ludziom się czasem wydaje, że jeśli ktoś osiągnął sukces, to już zawsze będzie go odnosił. Nie można sobie kupić na niego polisy swoimi wcześniejszymi osiągnięciami.

Zdobycie obu biegunów Ziemi w 1995 roku to dziś dla mnie jakaś abstrakcja. Jeśli już do niego wracam myślami, to staram się to doświadczenie odczytać na nowo, znaleźć jego sens w moim aktualnym życiu. Tyle rzeczy z tamtej wyprawy wyniknęło...

Niektórzy chyba nie widzą, jak śmieszne jest domaganie się uwagi, ciągłych oklasków, bo kiedyś coś zaśpiewaliśmy, napisaliśmy czy strzeliliśmy gola. Trzeba iść naprzód. Świat się nie zatrzymuje. Oczywiście pewne momenty można wspominać, natomiast zmuszanie świata, żeby przywiązywał wagę do naszych sukcesów, jest posunięciem bezsensownym.

Pułapki sławy, o które pytasz, to oczywiście może być też alkohol, używki, kobiety pojawiające się po bankietach... Te pokusy mogą sprawić, że się popłyniesz z ich nurtem. Ale powiem ci, że znam wielu ludzi, którzy osiągnęli światowy sukces i są wciąż skromni, szczodrzy, empatyczni.

13

Bieguny uświadomiły mi, że więcej zawdzięczam Panu Bogu niż sobie. Te wyprawy były tak ciężkim doświadczeniem, że gdybym przypisywał to, że je przeżyłem, swojej nadludzkiej sile, byłoby to kłamstwem. Ja tam na końcu świata uczyłem się pokory.

Może natura działa inaczej niż sceniczne reflektory, jeśli uwierzymy, że nie ma nic ważniejszego od ich światła? Uwielbienie tłumu to jest jakiś haj.

Chyba nigdy nie zasmakowałem tej ciemniejszej strony sławy. Bo w czasie wypraw byłem sam, a potem, owszem, były spotkania, nawet tłumne, ale dzieliłem się podczas nich trudnym doświadczeniem. To nie było puste.

A nie jest tak, że coraz bardziej spektakularne projekty wynikają z potrzeby potwierdzenia swojej pozycji, utrzymywania wysokiego miejsca? Nie potrzebujesz sobie udowadniać, że możesz to czy tamto?

14

Jestem ambitny. Może to wynika z jakichś traum z dzieciństwa... Bo to nie jest tak, że po prostu chcemy zdobyć bieguny. Zawsze jest też drugie i trzecie dno. Coś, co nas zaprogramowało, że pragniemy się wyróżnić, mamy potrzebę dążenia do tego, co wielu wydaje się nierealne. Czasem to robota podświadomości. Bywa, że chcemy wzmocnić poczucie własnej wartości, udowodnić sobie, że jesteśmy coś warci. Mnie wyprawy dowartościowywały, dawały poczucie wolności i sensu. Potem chciałem ten sens przeżywać jeszcze raz i jeszcze raz. Z tego brało się pragnienie kolejnych wypraw. Jestem z wykształcenia filozofem, całe życie poszukuję. Bieguny były dla mnie tylko scenografią. Wyprawa, jako przedsięwzięcie geograficzno-podróżnicze, to najmniej istotny element tych poszukiwań, zaledwie margines. Chodziło o dotknięcie tajemnicy tego miejsca, o doświadczenie życia na krawędzi, spotkanie ze śmiercią, przekraczanie własnych ograniczeń. Ważna była droga. Dlatego potem wciąż szukałem nowych scenografii.

Stąd pustynia, ocean. Czasem to był powrót do dziecięcych marzeń, by opłynąć świat dookoła...

Bywa, że u ludzi, którzy osiągnęli sukces, poprzebywali w blasku fleszy, zdążyli się nasycić tym, co niesie ze sobą sława, następuje radykalny zwrot do wnętrza, pojawia się potrzeba pogłębiania duchowości, chęć bronięcia się przed fałszywkami tego świata, a także strach, że nie dostaną tego, co się w życiu najbardziej liczy. Czesław Miłosz pod koniec życia powiedział: „Literatura to turniej garbusów. Nie mam o niej wysokiego mniemania. Uważam, że zwyczajna dobroć jest więcej warta”.

Odniesienie sukcesu nie wiązało się z radykalnymi zmianami w moim życiu. Radykalną zmianą było złamanie w dzieciństwie ręki i długi pobyt w szpitalach. Miałem pięć lat, gdy w czasie wakacji u cioci w Helenowie pod Łodzią złamałem rękę. Znalazłem się wówczas w szpitalu, gdzie mi ją nastawiono i włożono w gips. Kość jednak nie chciała się zrosnąć, groziła mi nawet amputacja. Wielokrotnie mi tę rękę łamano i składano. W efekcie spędziłem w sanatoriach i szpitalach mnóstwo czasu, w sumie kilka lat. Dla małego dziecka takie okresy

rozłąki z rodzicami, przebywanie w obcych miejscach z osobami starszymi (które czasami straszły mnie, że rodzice już po mnie nie wrócą i zawsze będę sam) były trudnym doświadczeniem. Myślę, że to tam, w szpitalach i sanatoriach, uczyłem się radzenia sobie z samotnością, strachem, z nie zawsze życzliwym otoczeniem i piętrzącymi się trudnościami. Sposobem na problemy okazało się czytanie książek. Często odwiedzałem biblioteki. Wtedy właśnie zacząłem czytać książki podróżnicze. Najpierw te dla małych dzieci, potem Aliny i Czesława Centkiewiczów, Juliusza Verne'a, Edmunda Niziurskiego i Zbigniewa Nienackiego, opisy wypraw Roberta F. Scotta, Ernesta Shackletona. Intensywniej żyłem w tamtym świecie niż na sanatoryjno-szpitalnej jawie. To z książek uczyłem się świata i tego, że o marzenia trzeba walczyć i je realizować. Prowadziłem dialogi z samym sobą. Zwracałem się do siebie: „Marku, co o tym myślisz?”. Wydawało mi się to naturalne. A potem bycie w świecie było dla mnie bycie w świecie filozofii. Czuję, że tam pasuję. Nie zastanawiałem się, jak wielu znajomych, jaką finansową przyszłość mi to zapewni. Jeśli podejmujesz decyzję dotyczącą zawodu, studiów i najważniejszym kryterium jest to, ile one mi pozwolą

zarobić, to co to znaczy? Że najbardziej w życiu interesują mnie pieniądze. Jakie to smutne.

Wydawało mi się, że w świecie filozofii znajdę klucz do szczęścia. Wierzyłem, że dzieło, które ewentualnie bym stworzył, rozwiązanie zagadki języka czy znalezienie odpowiedzi na pytania „Po co istnieje świat?” czy „Skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy?” spowoduje, że będę szczęśliwy. Funkcjonowałem w gronie filozofów na Uniwersytecie Warszawskim, jednocześnie studiując fizykę. Chciałem jak najwięcej dowiedzieć się o świecie. Uczyłem się całymi dniami, z przerwą na sen. Starłem się jakoś połączyć swoje wyprawy (na przykład do Meksyku) z odbywającymi się na UW dyskusjami, z fascynacją Ludwigiem Wittgensteinem. Byłem zadowolony z tego życia. I nagle przestało mi to wystarczać. Nic mi się nie wydawało nowe, wszystko było takie podobne... Nie chodzi o to, że się znudziłem. Nastąpił przeskok – od momentu, kiedy nie wiedziałem nic o badaniach filozoficznych, przez przekopywanie historii filozofii aż do momentu, gdy poczułem, że jeśli zostanę w murach uczelni (na której pracowało tylu podziwianych przeze mnie ludzi), to zamienię się w kolejną książkę. Zrozumiałem, że pretenduję do tego, by – w najlepszym

wypadku – zamienić się w książkę. Zastanawiałem się, czy jest to warte poświęcenia innych możliwości, które daje świat, czy to jest zgodne z moim powołaniem. Doszedłem do wniosku, że nie. Pamiętam zdanie, które wciąż wtedy do mnie przychodziło: „Nie chcę stać się książką”. Na moją decyzję o porzuceniu studiów miał też na czwartym roku wpływ wyścig o posady, który obserwowałem. Ludzie walczyli o pozostanie na uczelni, o asystenturę, w taki sposób, że czułem zażenowanie. Na filozofię wróciłem dopiero po dwudziestu latach, w 2008 roku.

Gdy po raz pierwszy znalazłem się na Spitsbergenie, zauważyłem, że nie trzeba nic mówić, nie trzeba dawać rad, ścigać się, współzawodniczyć, licytować się, kto ma więcej racji, kto jest bardziej błyskotliwy. Wystarczy być sobą. Na tym szczycie poczułem, że takie życie jest dobre. Nagle rzeczywistość mi się uprościła. Było jak z tą zacytowaną przez Ciebie prawdą, do której Miłosz doszedł pod koniec życia. Poświęcił życie literaturze – słusznie, bo miał gigantyczny talent – ale był mędrce, który wiedział, że nie jest ona więcej warta od międzyludzkich, głębokich relacji.

Tak na marginesie, myślałem ostatnio o tym, jak wiele Miłosz zrobił dla Polski – i nie tylko Polski – słowem. Czy na przykład polityka jest więcej warta od poezji?

Przecież Miłosz zmienił swoim słowem świat, szczególnie w stanie wojennym. Tego, co kultura w nas zmienia, nie da się zmierzyć, dlatego wielu ludzi wciąż uważa, że ona jest dziedziną, która powinna być traktowana po macoszemu, bo nie wybuduje chodnika czy czegoś innego. Ale to płytkie myślenie.

19

Ziarno, które posiał Miłosz, wystarczy. Tego, co z niego wyrośnie, jeszcze nie widać, ale to nie znaczy, że tego nie ma. Nie możesz świata zmienić spektakularnie, do podszewki. Ale przecież Saint-Exupéry czy Camus w jakiś sposób zmienili ten świat. Dodali coś do niego. Miłosz też.

Jednak nie dziwię się, że wciąż mieli jakieś niedosyty. Gdy patrzysz na populistycznych polityków, którzy mają władzę... Ich działania wywierają widoczny gołym okiem wpływ na rzeczywistość. A moc sztuki jest trudna do zmierzenia.

Ale politycy władzę mają tylko przez chwilę. Co zostało z Gomułki czy Cyrankiewicza oprócz paru frazesów? A mieli w rękach całą władzę.

Hans Christian Andersen żył w Danii w czasie, gdy rządzili nią królowie, możni panowie. I co po nich zostało?

Zapomniano nawet ich imiona i nazwiska. A po dwustu latach ludzie wciąż sięgają do Andersena.

20

Sukces można czytać na wiele sposobów. Ty założyłaś fundację, zaryzykowałaś pójście z Jaśkiem Melą na bieguny, choć – gdyby ta wyprawa się nie udała – twój wizerunek medialny uległby diametralnej zmianie.

Tak. Zapowiedzią tego, że będę skłonny iść za intuicją w takich kwestiach, była rezygnacja ze spędzenia życia w murach uczelni, choć to się wtedy wydawało posunięciem idiotycznym. Poza wszystkim innym na moje myślenie duży wpływ miała też polityka – to, co się działo w stanie wojennym. Hmm... Ale może to nie miało aż takiego znaczenia?

Gdy oglądałam archiwalny film, w którym młody Marek Kamiński rzuca w Gdańsku kamieniem w kierunku ZOMO, wydawało mi się, że miało.

Może racja. Stan wojenny był inny od rzeczywistości, w której żyłem później, bo wtedy wszystko było czarno-białe. Trzeba się było opowiedzieć po którejś ze stron. Nie było nic pomiędzy. Pamiętam tamten moment, gdy

rzuciłem kamieniem. Strasznie się bałem, ale czułem, że to jest forma protestu przeciwko systemowi. Dwadzieścia lat później dowiedziałem się, że to zostało sfilmowane.

Nie powiedziałbyś dziś swoim dzieciom, że dobrze jest rzucać do drugiego człowieka kamieniami.

21

Absolutnie bym nie powiedział. Wtedy to była antysystemowa deklaracja.

Ale wróć może do mojego rozbratu z uczelnią. Była we mnie nadzieja, że życie poza nią będzie jeszcze lepsze. Nie miałem nic poza tym przeczuciem. Kilka kolejnych lat było bardzo trudnych. Do Niemiec wyjechał Marek z dziesięcioma markami w kieszeni. Pracował tam w różnych miejscach.

Zastanawiałem się, jak to się stało, że zrezygnowałem z filozofii dla tak niepewnego życia. Z kogoś, kto pretendował do zajmowania się filozofią języka, stałem się kimś, kto walczył o przeżycie, o to, żeby się utrzymać na powierzchni, mieć co jeść, gdzie mieszkać. Nie było wtedy mowy o studiach, pisaniu książek, wyprawach. Ale jakoś się udało i po pewnym czasie wróciły marzenia o podróżach. Jak teraz na to patrzę, to widzę, jaka

z tych trudnych momentami doświadczeń płynęła nauka. W życiu to, czemu się bezinteresownie poświęcamy, wraca w dwójnasób. Jeśli człowiek poświęci coś dużego w imię czegoś, co tylko przeczuwa, ale bardzo mocno wierzy, że to jest dla niego – to Pan Bóg mu wynagrodzi podwójnie to szczere zaangażowanie, nonkonformizm.

Pobyty w Niemczech w latach osiemdziesiątych był dla Ciebie lekcją pokory?

Tak. Pamiętam, jak wtedy przyjechał do mnie do Hamburga ktoś z Polski i opowiadał o mojej znajomej (nie wiedząc zresztą, że ją znam): „Wiesz, jest taka młoda i ambitna dziewczyna zajmująca się filozofią...”. A ja myślałem: jakie to jest dziwne – ona jest teraz na filozoficznym Olimpie, a ja zmywam naczynia w kuchni zakładowej, jeżdżę tirem po porcie, rozwożę pizzę, kieruję taksówką albo dwudziesięciotonową wywrotką z piaskiem, czy też jestem ogrodnikiem w Hamburgu.

Pracowałem w ogrodzie wdowy po człowieku, który wymyślił cateringi w samolotach, oraz u Marion Dönhoff, wydawczyni tygodnika „Die Zeit”. Ona była bardzo życzliwa Polakom. Rok czy półtora balansowałem na krawędzi w sensie materialnym, potem już

było łatwiej. Gdy wybuchł rok 1989, wróciłem do Polski, założyłem firmę. Wiedza zdobyta na emigracji zaczęła procentować.

Doświadczenia z tamtego czasu zostawiły w tobie przekonanie, że trzeba wspierać cudze aspiracje i marzenia, choćby były najdziwniejsze? Bo przecież wspierasz tych, którzy udają się w nieznaną, bo czują, że powinni, a otoczenie często mówi, że się im nie powiedzie. Dziś na rozmaitych szkoleniach przekonujesz ludzi, by podążali za swoimi marzeniami, że bariery są tylko w ich głowach.

Jest takie powiedzenie, że jak uczeń jest gotowy, to przychodzi nauczyciel. Gdy jesteśmy gotowi, by coś zrobić, to pojawia się ku temu okazja. Kiedy byłem dzieckiem, brałem udział w akcji „Niewidzialna ręka”. Wtedy w telewizyjnym programie dla dzieci trwała akcja, w ramach której trzeba było zrobić coś konkretnego dla innych, na przykład porąbać drzewo staruszcze. Należało to zrobić *incognito*, zostawiając jedynie znak niewidzialnej ręki, czyli kawałek kartki z nadrukiem. Osoby, które pomogły komuś w ramach akcji, wysyłały informację o tym do redakcji programu; potem w telewizji

pokazywano niektóre historie. Ale zawsze wyglądało na to, że pomogła niewidzialna ręka. W tamtym czasie uświadomiłem sobie, że w telewizji pomaganie zawsze ładnie wygląda, ale w codzienności czasem trudno się przemóc, by podejść do kogoś, kto leży pod murem. Albo zauważyć, że obok jest rodzina, która nie ma co jeść. Poruszał mnie Camus piszący o pomaganiu, przejmowałem się, czytając o doktorze Bernardzie Rieux z „Dżumy”. Pamiętam, jak na trzecim roku studiów popłakałem się w trakcie lektury „Nędzników”, zapłakałem nad losem Jeana Valjeana. Ale trudno te wzruszenia przełożyć na konkretną pomoc w codzienności.

Pamiętam moment, kiedy zrozumiałem, że pomaganie innym buduje sens. Poszedłem z Wojtkiem Moskałem na biegun północny. Niby walka o życie, jakaś spektakularna historia... Szykowaliśmy się, że zginie my, naprawdę. Wiedzieliśmy, że szanse przeżycia mamy niewielkie. Jednak przeżyliśmy. Sława spadła na nas nieoczekiwanie. Zaczęło się od muru kamer i aparatów po powrocie. To masuje ego, ale za tym nic nie ma. W tym samym roku postanowiłem samotnie iść na biegun południowy. Przypomniałem sobie, że są takie wyprawy, w których po osiągnięciu celu zdobywa się

pieniądze na pomoc innym. Na przykład po wejściu na Mount Everest ratuje się ileś dzieci chorych na białaczkę. Działa to tak: od początku mówisz, że idziesz na szczyt z konkretną misją pomocy. Jeśli komuś ten cel się podoba, jest proszony o donację na takie a takie konto.

Moja wyprawa na biegun miała miejsce w 1995 roku. Oddział onkologii dziecięcej w Gdańsku miał wtedy zostać zamknięty, bo miasto nie miało środków, żeby go utrzymać. Część oddziału chciano przenieść do Bydgoszczy. Misja ratunkowa nagle stała się dla mnie bardzo ważna. Idąc na biegun, zmagalem się ze sobą, z wiatrem, ze wszystkim. Dzień dojścia do celu był jednym z najważniejszych w moim życiu. Dwa bieguny w rok, nie zginąłem. Na południowy, jak wspomniałem, szedłem sam, bo Wojtek, który był ze mną na północnym, mający piętnaście lat doświadczenia więcej, nie zdecydował się. Na stacji Amundsen-Scotta przesłano mi przez Internet (to były jego początki, ale on jakimś cudem tam był) listy dzieci, które pisały, że idą ze mną, że codziennie o mnie czytają. Rozpłakałem się. I wcale nie z radości, że doszedłem na biegun, ale że uda się pomóc tym dzieciom. Moja podświadomość chyba czuła, że bieguny to pułapka, gdy się je zdobywa dla siebie, a to, co się liczy,

to dawanie czegoś innym. Po wyprawie odwiedziłem dzieci, dla których zbierałem pieniądze. Niestety pół roku później połowa z nich już nie żyła... Kibicowanie mi na trasie dla wielu z nich było pierwszą i ostatnią podróżą. Pamiętam, że szczególny był taki Kubuś...

26

W tamtym czasie wybory prezydenckie wygrał Aleksander Kwaśniewski. Zrobiło się głośno akurat o tym gdańskim szpitalu i pomogła mu fundacja Jolanty Kwaśniewskiej – Porozumienie bez Barrier. Niedawno na tym miejscu powstała bardzo nowoczesna Klinika Onkologii Dziecięcej. Byłem w niej. Kiedy sobie przypominałem te baraki, tak – baraki, które stały tam wcześniej... Taka przepaść! Studenci ASP namalowali na ścianach tej nowej kliniki dżunglę, świat podwodny i napowietrzny, dzięki czemu pacjent nie czuje, że jest w szpitalu.

Nie byłem w stanie całkowicie poświęcić się działalności charytatywnej, ale od czasu wyprawy na biegun, gdy organizowałem jakąś ekspedycję, starałem się komuś pomóc. Gdy w moim życiu pojawił się Jasiak Mela, naturalne było, że nie mogłem go odrzucić. Wtedy jeszcze nie było wiadomo, jak można mu pomóc, ale było dla mnie jasne, że nie wolno obok niego przejść obojętnie. To był taki ciąg zdarzeń... Powiedziałbym:

przeznaczenie. Konsekwencje wyprawy na bieguny z Jaśkiem w 2004 roku mogły być różne. To był bardzo ryzykowny projekt. Teraz się wydaje, że nie było trudno, bo się udało. Ale gdyby coś się nie powiodło, gdyby coś się Jaśkowi stało... Kiedy patrzę na to teraz na chłodno, widzę, że szansa na to, że się uda, że wyjdziemy z tego bez wypadku, była jedna na milion. Przecież to był piętnastoletni chłopak, który niedługo wcześniej stracił rękę i nogę. Przeszło przez niego piętnaście tysięcy woltów. Pamiętałem sytuacje, kiedy wspaniale wytrenowani ludzie wracali z bieguna sparaliżowani. Byłem kiedyś w Rosji z szefem ochrony sieci kasyn ze Stanów. On wybrał się potem na biegun helikopterem, wylądował tam i coś go sparaliżowało, nie wiadomo dlaczego. Nie wrócił nigdy do zdrowia.

27

Gdyby coś w czasie wyprawy z Jaśkiem poszło nie tak, ciągnęłoby się to za tobą całe życie. I chyba utrudniłoby wiele przedsięwzięć.

Tak, wtedy by mówiono, że jestem nieodpowiedzialny, że dla zaspokojenia własnej ambicji, zdobycia większej sławy naraziłem niepełnosprawnego chłopca. Pamiętam, jak na biegunie południowym, po osiągnięciu celu,

Kanadyjczyk zajmujący się organizowaniem profesjonalnych wypraw (prowadził między innymi operację szukania wraku „Bismarcka”) zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, że *bad publicity*, zła prasa, jest sto razy mocniejsza od dobrej. I że gdyby coś się stało Jaśkowi, to zostałbym zniszczony. Większość ludzi była do tego projektu nastawiona negatywnie. Jeden z lekarzy, który wszedł do zespołu pracującego nad planem wyprawy, otrzymał od środowiska medycznego misję, żeby rozłożyć ten projekt od środka, w imię dobra Jaśka. Gdy napotykam sprzeciw, nie cofam się, tylko sprawdzam, skąd on się bierze. Życie nauczyło mnie, że granice na ogół są sztuczne, że szlabany zbudowane są z obaw albo braku wiedzy. Granice są najczęściej w naszych głowach.

Od początku wierzyłem, że się uda, i zrobiłem wszystko, by wyprawa doszła do skutku. Na biegun dotarliśmy siłą woli, bo – jak już wspomniałem – w fazie przygotowań wyszło na jaw sto powodów, dla których nie powinniśmy wyruszyć. Wielu ludzi było przeciwnych, ale mama Jaśka nie. W jej postawie było coś niezwykłego. Na pytanie, czy nie boi się, że jej syn idzie ze mną na koniec świata, gdzie może go spotkać coś złego, gdzie może nawet zginąć, odpowiedziała: „Dotychczas

największe nieszczęście spotkało Jaska sto pięćdziesiąt metrów od domu, więc może tam, na końcu świata, spotka go szczęście”. Ten chłopak przeszedł w życiu przez pasmo nieszczęść: na jego oczach utopił się jego młodszy brat Piotruś, spalił się jego dom, a potem wydarzył się ten wypadek w stacji transformatorowej.

29

Na biegunie Bóg dawał nam znaki. Nawet nie subtelne, ale takie „kawa na łąkę”. Na pewnym etapie był dryf, który odpychał nas od bieguna. Znajdowaliśmy się na krze. Wiał taki wiatr, że choć szliśmy cały czas do przodu, dwadzieścia kilometrów dziennie, staliśmy w miejscu, nie posuwaliśmy się naprzód. Skończyło nam się jedzenie, paliwo. Dodatkowo pojawiły się szczeliny. Żadnych szans na sukces. Myślałem, że nie dojdziemy. Ale tłukło mi się po głowie pytanie: „Co by szkodziło, gdybyśmy doszli? Przecież cel jest na wyciągnięcie ręki”. Kiedy kładliśmy się spać, powiedziałem Jaśkowi, że realnie wygląda to tak, że mamy małe szanse, prawie żadnych, by dojść. Chyba że wydarzy się cud. Ale i tak fajnie, że podjęliśmy próbę. Jasiek wtedy zaczął opowiadać, że przed naszą wyprawą był w Lourdes. Bardzo chciałem się wczuć w to, o czym mówił. Stwierdziłem, że jedynie modlitwa może nam pomóc, bo fizycznie

nic więcej już nie możemy (choć w nocy jeszcze rozpatrywałem różne warianty). Przypomniałem sobie, że w czasie jednej z wcześniejszych wypraw, z Wojtkiem Moskalem, w połowie drogi też mieliśmy poczucie, że nie dojdziemy. Zostawiliśmy wtedy po drodze kurtki puchowe i podwójne śpiwory, żeby zmniejszyć wagę tego, co nieśliśmy. No więc o poranku, gdy obudziliśmy się z Jaśkiem, powiedziałem, że skoro nic już nie możemy zrobić, to chociaż zostawmy te kurtki puchowe jako symbol prześlągnięcia bieguna. Skoro wcześniej zadziałało, to dlaczego nie spróbować teraz? Zrobiliśmy to i nagle... teren się wyrównał. Do tego momentu były przed nami zwały lodu, a nagle zrobiło się płasko. Dryf ustał, zniknęły szczeliny. Dzięki temu doszliśmy. Oczywiście można mówić, że to przypadek. A ja wierzę, że „przypadek” to inna nazwa na posunięcia Pana Boga. Że on się objawia właśnie poprzez tak zwane przypadki.

Carl Gustav Jung mówiłby tu pewnie o synchroniczności...

Masz rację. Ten pozornie chaotyczny świat daje nam ciągle znaki, tylko my, wpatrzeni w siebie, nie zawsze potrafimy je dostrzec i odczytać.